

opusdei.org

Opus Dei. Posłannictwo, inicjatywy, ludzie

Posłania i obraz Opus Dei na tle przeobrażeń Kościoła i świata w naszych czasach, pióra Giuseppe Romano (Edycja Świętego Pawła, 2002).

02-10-2004

WSTĘP

Prędkość, z jaką zmienia się wszystko wokół nas i z jaką my sami się poruszamy, wpływa znacząco na nasz sposób poznawania

rzeczywistości. Francuski filozof Paul Virilio użył terminu *dromoskopia*, co znaczy dosłownie „obserwacja prędkości”, dla określenia studium przemian, które rosnące tempo naszych czasów powoduje w naszej postawie egzystencjalnej.

Nie są to tylko teoretyczne rozważania. Co innego podziwiać krajobraz spacerując wolnym krokiem wędrowca, co innego przelecieć nad nim odrzutowcem. Z tym zgodzi się każdy. Niewielu zastanawia się natomiast nad przemianami, które rosnące tempo życia powoduje na dużo głębszym poziomie naszej egzystencji.

Gdybyśmy poprosili kogokolwiek o sporządzenie listy najważniejszych dla niego „kwestii egzystencjalnych”, na liście tej znalazłyby się przede wszystkim hasła takie jak: Bóg, miłość, przyjaźń, spełnienie zawodowe. Ale jeśli następnie poprosimy go, by wymienił

czynności, którym poświęca
najwięcej czasu w ciągu dnia,
odkryjemy prawdopodobnie, że skala
rzeczywistych priorytetów jest
zupełnie inna: na przykład, że
każdego dnia poświęca więcej czasu
jeździe samochodem niż własnej
żonie albo że częściej dzwoni do
radcy handlowego niż do matki. A
Bóg? Bóg ryzykuje, że w ciągu całego
dnia mężczyzny czy kobiety zajmie
mniej czasu niż lektura dziennika. To
kwestia „tempa”, kwestia egzystencji,
w której pilne sprawy bieżące
przeważają zwykle nad rzeczami
naprawdę ważnymi.

Wiek dwudziesty przechodzi do
archiwów historii jako epoka
ideologii i ich upadku. Jednak
ludzkość nie patrzy przez to jaśniej w
przyszłość. Można powiedzieć, że
przeciwnie – fanatyzm zastąpiły
cynizm i obojętność, że kierunek, w
jakim idziemy, to rzucanie wyzwania
Bogu na jego własnym terenie, na

terenie „tego, co rzeczywiście konieczne”, próba życia tak, jakby niebo było puste. Zakładając, że można tak żyć, jest na to tylko jeden sposób: starać się iść na tyle szybko, żeby „nie widzieć krajobrazu”.

Tej kwestii Jan Paweł II poświęcił dużo uwagi w liście, który, zamykając Jubileusz Odkupienia, wprowadził Kościół w trzecie tysiąclecie ery chrześcijańskiej. Temat ten rysuje się jako główny, wiodący. *Novo millennio ineunte* zaprasza chrześcijan, by ponownie rozpoczęli wszystko od Chrystusa: by przyjrzeni Mu się uważnie, odnaleźli Go, poświęcili Mu uwagę i czas, na jakie zasługuje. Bardzo sugestywne jest porównanie do Gwiazdy Betlejemskiej, nakreślone przez papieża na zamknięcie jubileuszu: „W tym Roku Jubileuszowym” mówi Ojciec Święty „Kościół starał się pełnić z wielkim zaangażowaniem, dla swoich dzieci i dla ludzkości, rolę gwiazdy, która

kierowała krokami Trzech Króli. Kościół nie żyje sam dla siebie, ale dla Chrystusa. Pragnie być „gwiazdą”, która stanowi punkt odniesienia, pomagając znaleźć drogę, prowadzącą do Niego”. Gwiazdy są obiektywnymi i dobrze widocznymi punktami odniesienia. Od tysięcy lat ludzie wyznaczają kierunek za pomocą gwiazd. Także w noc Betlejemską gwiazda świeciła jasno. A jednak niewielu zatrzymało się, by na nią spojrzeć, tylko nieliczni dali sobie czas, by podnieść wzrok. Nie wystarczy, że gwiazda będzie świecić. Trzeba chcieć się nią kierować i patrzeć na nią. Trzeba zwolnić, wyjść poza schematy.

Na następnych stronach będziemy mówić o Opus Dei, które spośród innych instytucji, utworzonych przez Boga w Kościele w dwudziestym wieku, wyróżnia się tym, że przypomina o powszechnym powołaniu do świętości. Intencją

Opus Dei jest przedstawić świętość w perspektywie „katolickiej” (która jest dla niej naturalna), otwartej.

Staralem się rzetelnie opisywać, informować, nie deformując. Sam opis nigdy nie wystarczy. Realia życiowe należy raczej ukazywać niż opisywać – żeby poznać motyla, można zadowolić się oglądaniem go przybitego szpilką w pudełku – tak jest szybciej, ale lepiej byłoby obserwować, jak lata nad łąką.

W filmie *Truman Show* jest scena, która daje do myślenia. Truman, bohater filmu, jest zwykłym człowiekiem, ma żonę, pracę, przyjaciół. Tak przynajmniej myśli on sam, aż pewnego dnia, gdy idzie ulicą swojego miasteczka, kilka metrów przed nim spada z jasnego nieba dziwny przedmiot. Truman ogląda ze wszystkich stron ten metalowy meteoryt roztrzaskany na asfalcie. To bez wątplenia lampa. Reflektor halogenowy, jakich używa

się do oświetlenia terenu. Ale jak reflektor może spaść z nieba? Truman zaczyna podejrzewać to, o czym widzi już wie: że w tym miasteczku nic nie jest prawdziwe. To program telewizyjny, w którym wszyscy grają swoje role. Wszyscy są aktorami. Nie wyłączając jego samego, który od lat jest bohaterem tego programu, choć o tym nie wie. Błękitne niebo, które co dzień oglądał, nie jest prawdziwym niebem, lecz kopułą gigantycznego studia telewizyjnego, usianą sztucznymi światłami.

W pewnym sensie przydarza się to wszystkim. Każdy z nas żyje w swoim „wyobrażeniu świata”, na tyle optymistycznym, że pozwala mu wieść zadowalający żywot. Inaczej byłoby to dla nas nie do zniesienia, gnębiłyby nas lęk i zniechęcenie. Jest to głęboki, egzystencjalny wymóg. Potrzebujemy muszli, w której moglibyśmy żyć bezpiecznie i

spokojni. Nasze bezpieczeństwo i spokój nie muszą być absolutne. Ważne, żeby pozwalały nam przeżyć. W rzeczywistości każde „wyobrażenie” dzieli świat na dwoje: wewnątrz znane, na zewnątrz nieznane; wewnątrz pewność, na zewnątrz wątpliwości. Jedni koncentrują swój obraz świata na rodzinie, inni na sprawności fizycznej, jeszcze inni na dobrej sytuacji materialnej, na przewadze siły lub przebiegłości, na ideologii czy na religii. Dzisiejszy świat wypełniony jest najróżniejszymi wyobrażeniami.

Co by się jednak stało, gdyby pewnego dnia z nieba naszego świata spadł dziwny przedmiot, pokazujący niezbicie, że rzeczywistość nie ogranicza się do tego, w czym żyjemy, że nasz obraz świata jest niekompletny? (Ilu szaleńców, ilu włóczęgów, ilu chorych na depresję to w rzeczywistości „Trumanowie”

wyjęci z ich wyobrażenia świata i rzucony na zewnątrz, w mrok i chłód życia?).

Również religia należy do „wyobrażeń świata”. Tylko że ona z definicji przedstawia się jako wyobrażenie najwierniejsze, najbardziej odpowiadające rzeczywistości świata. Religia twierdzi, że jej niebo jest prawdziwym niebem, że między nami i rzeczywistością nie ma kopuł czy ekranów. Twierdzi, że Bóg wszystko wyjaśnia: przytoczmy słynne zdanie z ostatniego Soboru, które Jan Paweł II lubi cytować (na przykład w encyklice *Redemptor hominis*, nr 10): Chrystus Zbawiciel „objawia w pełni człowieka samemu człowiekowi”. Bez jakichkolwiek ekranów.

Wszyscy pamiętają inne zdanie Karola Wojtyły: „nie lękajcie się”, które wypowiedział w dniu

inauguracji jego pontyfikatu. Nie była to tylko zachęta czy przepowiednia. To synteza jego wizji człowieka. „Nie lękajcie się” oznacza, że człowiek zbawiony przez Chrystusa nie jest przypadkowym mieszkańcem świata. Może on i powinien poruszać się we wszystkich ziemskich realiach, pełnoprawnie i bez ograniczeń, chyba że stawianych przez samą rzeczywistość. Musi badać rzeczywistość, poznawać ją, oswajać. Chrześcijanin nie ma zewnętrznych ograniczeń dla siebie samego. W świecie może czuć się swobodnie, ponieważ granice wszechświata pokrywają się z jego domem i z opieką Ojca, który mu go ofiarował.

Ale czy tak jest zawsze? Czy taki jest przeważający obraz wiary ożywiającej chrześcijan, który chrześcijanie ci mają i przedstawiają? Czy może należy się obawiać, że również chrześcijaństwo

okaże się niewystarczającym „wyobrażeniem świata”? Skoro chcemy się zagłębić w przedstawienie szczególnej współczesnej rzeczywistości chrześcijańskiej, czyli Opus Dei – ukształtowanej historycznie, teologicznie i prawnie, przedstawiającej jednocześnie propozycję religijną, społeczną i obywatelską (nie zapominajmy, że chrześcijaństwo jest religią Boga wcielonego), przychodzą mi na myśl przynajmniej dwa ważne powody, by zatrzymać się w tym miejscu i wyjaśnić ten punkt.

Pierwszy powód. Jest wielu dobrych, zacnych ludzi, którzy przyjmują ważne i pozytywne prawdy i rzeczywistości z powodów różnych od tych, które czynią te prawdy i te rzeczywistości ważnymi i pozytywnymi. Być może przyjmują je zwyczajowo, dlatego, że większość tak robi, ze strachu, z lenistwa, z

fanatyzmu. I oto dla nich te rzeczywistości zmieniły się w „wyobrażenia świata”, w struktury ochronne i opiekuńcze. Zdarza się to również chrześcijanom, katolikom. Znaczącym sygnałem tej postawy jest dość rozpowszechniona tendencja do myślenia w kategoriach „przynależności”, przyczepianie „etykietek”, co nie zgadza się ani z pozytywnym duchem wolności, który powinien ożywiać dom Chrystusa, ani z ewangelicznym stwierdzeniem, które dopuszcza istnienie „wielu mieszkań” wewnątrz niego. Przede wszystkim tendencja ta stwarza wewnątrz i na zewnątrz Kościoła wrażenie wichrzycielstwa i – co za tym idzie – lęku, niepewności, tak, jakby najważniejszym aspektem bycia chrześcijaninem było łączenie się pod tym lub innym sztandarem.

To delikatny temat i nie sposób wyczerpać go w kilku zdaniach. Ale jeżeli prawdą jest, że chrześcijaństwo

pragnie być prawdą na świecie („Nie lękajcie się!”), a nie tylko jednym z możliwych wyobrażeń świata, które człowiek stwarza, żeby dodać sobie odwagi, to w takim przypadku należy rzeczywiście porzucić zarówno obawy, jak i etykiety i szukać z odwagą swojej własnej, osobistej drogi prowadzącej do otwartego nieba. W tym świetle mówienie o jakiejś konkretnej instytucji nie oznacza przeciwstawiania jej innej instytucji. Należy wręcz podkreślić, że nie ma takiej instytucji, choćby nie wiem jak dobrze zorganizowanej i świętej, która mogłaby zastąpić swoim niebem niebo Chrystusa. Albo poszczególne „mieszkania” są mieszkaniem w domu Chrystusa, albo są niepotrzebne i szkodliwe. Powołanie, jakie Chrystus daje każdej kobiecie, każdemu mężczyźnie, jest zawsze osobiste, ponieważ Jezus, jedyny prawdziwy rozmówca, jest Osobą, a nie abstrakcyjnym bytem. Oczywiście, powołanie zawsze ma

też charakter instytucjonalny, ponieważ wszystkie struktury instytucjonalne w całej historii, które Bóg powołuje - w jakiś sposób nawet sam Kościół! – są narzędziami i nośnikami, mającymi ułatwić każdemu z nas wędrówkę ku Niemu.

Drugim powodem jest powstanie tak wielu różnorodnych wyobrażeń świata, że w naszej „post-ideologicznej” epoce doprowadziło to do rozpowszechnienia idei „pełnej szacunku i tolerancji”, według której w rzeczywistości nie istnieje żadne wyobrażenie świata obowiązujące dla wszystkich. W rezultacie, jakiegokolwiek ma się zdanie, należy zachować je dla siebie. Jakakolwiek publiczna deklaracja, jakikolwiek prozelityzm są aktami złego wychowania, uchybieniem, czy wręcz naruszeniem praw innych ludzi.

Teoretycznie każdy rozumie, że z dwóch osób, które mają inne zdanie na temat jakiejś prawdy, więcej racji ma ta osoba, która z jakiegoś powodu – ponieważ widziała, zrozumiała czy przeczuła więcej – jest bliższa tej prawdy. Ale dzieje się tak tylko wtedy, gdy te dwie osoby znajdują się pod tym samym niebem. Jeśli natomiast żyją pod różnymi kopułami – jeśli grają w różnych *show* – każda z nich ma „swoją” prawdę pod „swoim” niebem.

Także to wyjaśnienie prowadzi nas do trudnych i delikatnych rozważań. Czy chrześcijańskie ”nie lękajcie się” może współistnieć na równi z innymi „wyobrażeniami świata” na obecnym wolnym rynku przekonań? Czy chrześcijanin może zgodzić się na zamknięcie swych przekonań w głębi swojego sumienia tak, by nie wyszły na jaw w jego publicznych działaniach zawodowych, obywatelskich, rodzinnych,

społecznych? Zaś z drugiej strony, czy niechrześcijanie mogą tolerować chrześcijańskie twierdzenie, że niebo Chrystusa jest jedynym prawdziwym niebem, jeśli to oznacza, że wszystkie inne są bardziej lub mniej fałszywe?

Znaczna część drogi, którą przeszedł Kościół w dwudziestym wieku zaprowadziła go na próg odpowiedzi na wyżej wymienione kwestie. Od Soboru Watykańskiego II do Jubileuszu Odkupienia prowadzi ciągła linia, która zapytuje Kościół o jego rolę w świecie w obecnych czasach. Nie tylko „nauka społeczna Kościoła”, którą ostatni papieże oraz wielu księży i teologów zajmowało się z dużym zaangażowaniem w teorii i w praktyce, lecz także nowy *Katechizm*, liczne encykliki papieskie oraz wydarzenia na całym świecie unaocznili problem społecznego aspektu aktywności religijnej.

Było i jest wszędzie wiele
niezwykłych przykładów
działalności społecznej i
charytatywnej prowadzonej przez
Kościół i katolików. Wolontariat, na
przykład, bez wątpienia zrodził się
we wspólnocie chrześcijańskiej.
Wszyscy gotowi są uznać moralny
prymat Kościoła na polu pomocy
tym, którzy potrzebują różnorodnego
wsparcia.

W niewielu natomiast przypadkach
katolickie „wyobrażenie świata”
zaważyło w kontekście cywilnym.
Odwołuję się tu do trwałego i
płodnego wkładu w życie cywilizacji
ludzkiej. Nie mam na myśli
problemu moralnego, choć rzuca się
w oczy, że pod tym względem wizja
chrześcijańska nie została przyjęta w
wielu sektorach społeczeństwa.
Problem, do którego się tu odwołuję,
jest raczej typu „antropologicznego”:
jeśli niebo chrześcijańskie jest
prawdziwym niebem, jak to możliwe,

że nie wynikają z tego konsekwencje dla objętego nim obszaru ludzi wierzących?

Nie jest to błaha kwestia. Jeśli chrześcijanie mieliby odkładać na pozaziemskie jutro wszelkie swoje sukcesy, oznaczałoby to, że albo chrześcijaństwo, albo świat (albo jedno i drugie) nie są stworzone dla ludzi. Jednak znaczna część duchowości katolickiej – między innymi duchowość błogosławionego Josemaríi Escrivá, tego, który założył Opus Dei – opowiada się zdecydowanie za jednością, a przeciw podziałom: wiara wraz z rozumem, Bóg wraz ze światem, zaangażowanie w sprawy doczesne wraz z życiem duchowym. Popierając inicjatywy, które zmierzają w tym kierunku, Kościół podkreśla, że oto nadszedł czas, by ponownie zdobyć świat dla Chrystusa, nie trzymając się na obrzeżach tego świata i nie stroniąc

od niego. W ten sposób powracamy do podstawowego pytania: czy chrześcijanin może i powinien starać się zmienić *cały* świat na miarę Chrystusa?

Co jakiś czas – zwłaszcza w innych epokach – znajdował się ktoś, kto uważał, że Kościół powinien włączyć się do polityki, do spraw cywilnych, powinien mieć swoje drogi, mniej lub bardziej urzędowe, aby rozwiązywać te czy inne ludzkie problemy. Lecz to nie zalicza się do jego celów. Kiedy musiał to robić – na przykład stojąc w obliczu niebezpieczeństwa – przysparzało mu to zawsze poważnych kłopotów i zmniejszało jego wiarygodność.

Jednak, jeśli Chrystus daje człowiekowi wiarygodne „wyobrażenie świata”, musi ono zawierać zarodki, rozświetlające jakąkolwiek drogę, którą podąża człowiek, i czyniące ją w pełni

ludzką. Nie chodzi więc o wymyślanie możliwej „drogi chrześcijańskiej” w polityce, w gospodarce, w sztuce, w urbanistyce, w szkole. Chodzi o to, żeby zadać sobie pytanie czy na wszystkich tych polach chrześcijanie nie powinni okazać się *zdolniejsi* od innych – zgodnie ze swoim osobistym talentem – w odnajdywaniu dróg godnych człowieka, bez względu na to, jakie to będą drogi. Inaczej mówiąc, nie wystarczy, że będzie ogólny pluralizm. Istnienie różnych sposobów rozwiązania jakiegoś problemu samo w sobie nie mówi nic o możliwości rzeczywistego rozwiązania tego problemu. Być może wszystkie te sposoby są złe, a może wszystkie są dobre. Być może ten problem dopuszcza wiele rozwiązań, a może tylko jedno.

Jeśli rozwiązania wymaga zagadka świata, Chrystus jest bez wątpienia czynnikiem niezbędnym i

podstawowym dla wszystkich rozwiązań (przyjmując, że Chrystus jest rzeczywiście Bogiem, jak sam twierdzi i jak wierzą wszyscy chrześcijanie). Jest to istotne stwierdzenie. Wynika z niego, że człowiek otwarty na Boga zna lepiej samego siebie i świat. Jakiegokolwiek zastosuje rozwiązanie na polu, na którym działa, ta znajomość zaowocuje. Być może to akurat konkretne rozwiązanie nie będzie najlepszym ze wszystkich, lecz obiektywnie nie naruszy godności ludzkiej (czasem trafi się może geniusz, który wymyśli rozwiązanie jednocześnie najlepsze i najbardziej szanujące człowieka). To właśnie jest wyzwanie, z którym dziś mamy do czynienia.

Co Opus Dei ma wspólnego z tym wyzwaniem? W pewnym sensie Opus Dei jest tylko pretekstem. Czym bowiem jest każda inicjatywa utworzona przez Ducha Świętego w

Kościele, jeśli nie pretekstem, jednym z wielu wspaniałych pretekstów, których Bóg używa na przestrzeni całej historii, aby nas przywołać, oczarować, skłonić, byśmy za nim poszli? W takim razie wydaje mi się, że pretekst ten jest tu na miejscu dzięki dwóm czy trzem rzeczom, które dotyczą w szczególności Opus Dei. U podstaw Opus Dei leży propozycja, którą w uproszczeniu sprowadzić można do następujących punktów:

- każdy musi odnaleźć swoją własną drogę, która jest jedna: nie jest drogą człowieka a *potem* chrześcijanina, lecz drogą człowieka, który odkrywa, że jest dzieckiem Bożym. To sam Bóg go do tego wzywa;
- Boskie powołanie zbiega się na początku z przyrodzoną i indywidualną sytuacją każdego człowieka i polega na

„przebóstwieniu”, poczynawszy od łaski chrztu, tej konkretnej i niemożliwej do zastąpienia sytuacji we wszystkich jej aspektach;

- życie chrześcijanina („powołanie do świętości”) zbiega się z jego osobistą i codzienną odpowiedzią na wolę Bożą, która objawia się każdego dnia, we wszelkich zdarzeniach, drobnych i wielkich.

Propozycja ta równa się zaproszeniu poszczególnych wiernych chrześcijan do całkowitej swobody działania.

Inaczej mówiąc, Opus Dei nie ma na celu zbierać wiernych we wspólnotę (choćby nawet najświętszą), lecz udzielać każdemu z nich pomocy (*formacji*), która uczy go, jak być *wolnym i odpowiedzialnym* w swoich wyborach.

Będzie jeszcze okazja, żeby wyjaśnić to dokładniej. Jednak już teraz muszę

stwierdzić, że jest to istotna nowość charakteryzująca instytucję eklezjalną, która nie ma jeszcze stu lat i która, wraz z wieloma innymi, zdaje się wskazywać w Kościele katolickim pewne nowe linie rozwoju. Na tyle nowe, że trudno je jeszcze pojąć: idea wolności wyboru każdego wiernego z Opus Dei na polu cywilnym (politycznym, kulturalnym, artystycznym itd.) była historycznie trudna do zaakceptowania. Przez wieki przywykliśmy do „wyobrażeń”, „muszli” i „etykietek”. Nie jest łatwo przekonać siebie, że ktoś może działać z pobudek czysto osobistych, że nie jest przedstawicielem jawnych lub tajnych interesów zbiorowych i korporacyjnych. A przecież w tym tkwi cała siła chrześcijaństwa, jeśli istnieje.

Pewnego razu błogosławiony Josemaría Escrivá natrafił na sklep ze słodyczami, którego szyld głosił

„cukiernia katolicka”. Zaczął się wtedy zastanawiać nad bezsensownością używania tak zobowiązującego przymiotnika tam, gdzie katolicyzm nie jest szczególnym składnikiem, chyba, że zamierzamy mówić o zaangażowaniu i celach, jakie przyświecają tej pracy. Ale również w tym przypadku określenie „katolicki” nic by nie wniosło, skoro pod tym względem wszystko może i powinno być katolickie.

Oto dlaczego Opus Dei jest interesującym pretekstem. Opowiemy o nim, żeby je poznać, jeśli to możliwe, bez etykietek: pod niebem Chrystusa. I, poza konkretnymi informacjami zawartymi w tej książce – ich obecność jest oczywista i niezbędna – ta refleksja pozwoli nam być może pamiętać o najistotniejszej prawdzie Opus Dei: o tym, że nie ma takiego miejsca na świecie, które nie byłoby

potencjalnie chrześcijańskie. Opus Dei jest tylko nośnikiem, kopertą, w której wysyłamy to orędzie; jest jednym z wielu „nie lękajcie się” adresowanych do ludzi Trzeciego tysiąclecia, które mogą przełożyć się na refleksję na temat naszych czasów i roli, jaką powinna w nich odegrać Ewangelia.

Zresztą wyzwanie nie zatrzymuje się na poziomie sumienia, lecz wychodzi na ulice, woła z dachów, staje się sprawą publiczną i cywilną. Opus Dei jest szczególnym przypadkiem zjawiska bardziej ogólnego i w pełnym znaczeniu tego słowa „chrześcijańskiego”, w którym właśnie nie-zbiorowy wymiar przesłania gwarantuje, że to chrześcijańskie „wyobrażenie świata”, a nie chrześcijańskie instytucje, ma prawo wpływać na świat. Nawet chrześcijaństwo rozumiane jako „Kościół” nie ma takiego prawa: to poszczególni

chrześcijanie jako tacy (jako ludzie i dzieci Boże) są powołani do niesienia „wyobrażenia świata”, które jest zdolne wyjaśnić świat – czyli zapewnić zasięg społeczny temu wyobrażeniu. Każdy z nich powinien, tam, gdzie przebywa, wykorzystać inwencję i zaangażowanie niezbędne do uczynienia świata lepszym podług Boskiej miary. Zadanie ogromne i wspaniałe, szerokie i różnorodne jak świat oraz pełne radości, ponieważ ten, kto to wszystko pojmie wie, że musi „namiętnie kochać świat” (słowa błogosławionego Josemaríi Escrivy). Nie pokonując siłą, nie narzucając, nie planując: zwyczajnie, „z owocu poznaje się drzewo” (Mt 12,33). Owoce bez etykietki.

Pobierz spis treści

.....

pdf | dokument generowany
automatycznie z <https://opusdei.org/pl-pl/article/opus-dei-poslannictwo-inicjatywy-ludzie/> (14-02-2026)